



**z Ireneuszem Wołkiem**

Jeszcze kilkanaście lat temu, nazwa Kambodża była synonimem chaosu, walk domowych i krwawych eksperymentów społecznych. Dzisiaj kraj ten cieszy się względnym spokojem, wabi turystów kulturą i historią wojowniczych Khmerów, a jego stolica, Angkor jest na ustach setek turystów oniemiałych z zachwytu.

My również będąc w Bangkoku, nie możemy odmówić sobie spotkania z krajem, gdzie masowa turystyka to znak przyszłości. Wynajmujemy przewodnika i o czwartej rano w cztery osoby ruszamy w stronę Kambodży. Po wspaniałych drogach Tajlandii szybko uciekają kilometry. O ósmej godzinie mamy już za sobą 300 km i jesteśmy w Aranyprathet na granicy z Kambodżą. Z niedowierzaniem patrzemy przed siebie. Naładowane do granic wytrzymałości wózki, pchane przez ludzi jadą w stronę przejścia. Wszystko, co można przewieźć i sprzedać, jedzie do Kambodży. Dominują owoce, warzywa, słodycze, napoje oraz lód, który z braku prądu zastępuje lodówki. Wypełniamy kolejny kwestionariusz, dokumenty, przypinamy zdjęcia, oddajemy paszporty, anulujemy wizy i czekamy. Korzystamy z przejścia dla obywateli i po godzinie idziemy dalej. Jeszcze jedna kontrola, opłaty, ponownie dokumenty i opuszczamy Tajlandię. Po kilkuset metrach wita nas imponująca brama z napisem – Kingdom of Cambodia. Niestety to nie wszystko, teraz kolejne skomplikowane procedury. W końcu, po dwóch godzinach otrzymujemy wizy i jesteśmy w Kambodży. I znowu zaskoczenie. Przed nami okazałe budynki, mieszczące pełne przepychu kasyna. W Kambodży, jak w większości krajów tego regionu hazard jest legalny. Jeżeli w ogóle można mówić o legalności w kraju chaosu gospodarczego i totalnej korupcji. Tuż obok na pasażerów czekają motorowery, pełniące w razie po-

# Tonle Sap – Jezioro życia

## Kambodża cz.1



▲ Zachód słońca nad pływającymi wioskami.



▲ Droga przez miasteczko.



▲ Główna droga Kambodży, która dosłownie znikła po ulewach monsunowych.

trzeby rolę kilkuosobowych taksówek, gdzie rejestracja, lusterko czy kask, to zbędny balast. Ruszamy w dalszą drogę, po ubitym glinianym trakcie. Przed nami 150 km zmagania z niekończącymi się wybojami, kurzem i hałasem. Po przejechaniu pięćdziesięciu kilometrów pierwszy na naszej trasie drogowskaz. Do wyboru mamy drogę do Siem Reap i Angkor lub stolicy Phnom Penh. Czasami mamy wrażenie, że to tylko roboty drogowe. Niestety to główna droga z ubitej gliny, na którą nieustannie nawozi się kolejne warstwy. W porze monsunowej droga wymywana jest przez deszcze i staje się nieprzejezdna. Ponad cztery godziny jazdy za nami. Zatrzymujemy się na chwilę, by rozprostować nogi przy oryginalnej wystawce. 1,5 litrowe, wielokrotnie używane plastikowe butelki po Pepsi, Coca Coli, z żółtawą zawartością czekają na klientów. Długo zastanawialiśmy się, co znajduje się w tych butelkach. Nagle podjeżdża motorower i wszystko jasne. To stacja benzynowa. Większość pojazdów to motorowery, dla których butelka benzyny to wystarczająca ilość. Jadąc tą wyboistą drogą trudno się nu-

dzić. Przestrzeganie zasad ruchu drogowego nie należy do mocnych stron mieszkańców Kambodży. Co chwilę, ze strachu mocniej łapiemy się wszystkiego, co jeszcze nie odpadło w samochodzie, kiedy na drodze pokazują się leżące krowy, świnie, psy, kąpiące się w kałużach kaczkę i dziury wielkości małego samochodu. Duchota, kurz wdziera się do samochodu, zapach potu miesza się z wyciewami zdezelowanego silnika wysysając z nas resztki optymizmu. Zbliżamy się do Siem Reap, ruch zaczyna się wzmacniać, a na drodze pokazuje się asfalt. Spoglądając przez popękana szybę, wzmocnioną taśmą klejącą, podziwiamy, jak można załadować samochód czy motor. Ponownie oczy otwierają się nam szeroko, kilometr wcześniej nie było nawet drogi, a tutaj wyrastają hotele z eleganckimi trawnikami. Odkąd świat przypominał sobie o świątyniach Angkoru, małe Siem Reap, które stanowiło doskonałą bazę do ich zwiedzania, przeżywa najazd turystów i szybko staje się najbogatszym miastem w Kambodży. Zatrzymujemy się w niewielkim Angkor Way Hotel. Ładnie urządzone, schludne i pusty hotel miło nas zaskaku-

je. Przy hotelowym basenie zamawiamy obiad, za który zapłaciliśmy 3 \$ za dwie osoby. Od lat Kambodżanie posługują się w rozliczeniach dolarem, rodzima waluta – Riel – służy jedynie do wydawania reszty. Może się zdarzyć, że w czasie kilkudniowego pobytu nie uda się jej nawet zobaczyć. Kurs jest dość sztywny – za jednego dolara można dostać 4000 Rieli.

Po krótkim odpoczynku jedziemy w stronę jeziora Tonle Sap. Tuż za miastem kończy się asfalt. Znowu inny świat. Wieśniacy stojąc po kolana w zamulonym stawku, bambusowymi koszami przeszukują muł, by znaleźć coś do jedzenia. Wyschnięta, zwalona palma leży na środku błotnistego podwórka, a półnagie, umorusane dzieci radośnie skaczą przez przydrożny rów pełny śmieci. Na wietrze niczym burza, dudni i zgrzyta oderwana blacha od dachu, obok którego kuśtyka o kulach gospodarz. Reżim Pol Pota doprowadził społeczeństwo nie tylko do skrajnej nędzy, cierpienia i bólu. Zniszczył inteligencję, wydarł całemu pokoleniu wiarę w lepszą przyszłość, że warto pracować dla siebie i rodziny. Do dzisiaj istnieje przekonanie wśród starsze-





▲ Miejsce „TIR-y” na granicy z Tajlandią.

go pokolenia, że „lepiej nie posiadać nic, niż stracić wszystko”, a czas, gdy karano śmiercią za noszenie okularów mogą powrócić. Całe szczęście, że młode pokolenie, dla którego wojna i prześladowania to tylko historia, widzi świat zupełnie inaczej. Pomimo biedy jest aktywne, pracowite i serdecznie nastawione do każdego przybysza, a dzieci z uśmiechem na twarzach, ze swoim „hey mister, one dolar” sprzedadzą nam wszystko.

Nagle kołysanie ustało, a samochód zatrzymał się przed drewnianym szlabanem. Opłacamy przejazd. Nie bardzo wiemy za co, ale wiemy po co. Prawdopodobnie dla świętego spokoju. Niestety nie odważyliśmy się skierować obiektywów w stronę groźnie wyglądających funkcjonariuszy. Ruszamy dalej. Przy drodze stoją domy, w których nie ma prądu, kanalizacji ani wody, a za nimi gigantyczne zielone pola ryżowe, które już niedługo przykryje woda. Dojeżdżamy w końcu do mierzei, gdzie czeka na nas łódka motorowa. Wsiadając na łódź zaczynamy z niepokojem patrzeć na naszą załogę. Głównodowodzący sternik ma kilkanaście lat, gołymi stopami naciska stalową linkę dodając gaz, a jego młodszy pomocnik (maksymalnie 10 lat) odpycha łódź od brzegu. Szukamy kogoś starszego. Nic z tego – to jest nasza załoga. Kilka metrów dalej z zamulonej wody wystaje kilka głów miłośników porannej toalety. Nasz mały kapitan z dumą pokazuje i opowiada o nowej szkole zbudowanej na barce przez organizację międzynarodową. Prawdopodobnie i tak ławki będą puste. Połowa populacji Kambodży to dzieci do 15 roku życia, które muszą pracować na utrzymanie licznych rodzin. Po kilku minutach handlowy abordaż. Drewniana dłubanka sprawnie dobija do naszej łodzi, a na pokład wskakują nam malcy



▲ Imponująca brama wjazdowa do jednego z najbiedniejszych krajów świata.

z pamiątkami i owocami. Kilka minut później okupują już następną łódź.

Nagle woda zmienia barwę z żółtej na błękitną. Wypływamy na Tonle Sap – największe jezioro na Półwyspie Indochińskim. Jezioro połączone rzeką o tej samej nazwie z Mekongiem w ciągu roku zmienia drastycznie stan wody. W porze suchej, w której akurat jesteśmy, powierzchnia jeziora wynosi około 3000 km<sup>2</sup> – po monsunach Mekong wypycha gigantyczne ilości wody do jeziora zwiększając jego powierzchnię 10-cio krotnie. Dzięki corocznej wymianie wód z Mekongiem, jest to jedno z najbardziej zasobnych w ryby jezior świata. Jednak z trwogą wszyscy spoglądają na potężnego sąsiada z północy. Chińczycy budują zapórę na Mekongu, która przejmie i ustabilizuje znaczne ilości wody. Brak wymiany wody w jeziorze, może doprowadzić do drastycznego spadku ilości ryb i głównego źródła utrzymania setek rodzin. Mijamy dziesiątki łódek, na których krzątają się rybacy zarzucając sieci. Płyniemy dalej. Nagle w bezkresie jeziora wyłaniają się domostwa. Dziesiątki domów na palach tworzących małe wioski rybackie. Nasz kapitan z uporem wiezie nas w stronę jednego z nich. Jak się później okazało tu żyje jego liczna rodzina, z której najmłodsze rodzeństwo nigdy nie było na stałym lądzie. Mieszkańcy tych domów to w większości Wietnamczycy. Dzięki swojej zaradności stali się jedną



▲ Przyrodny sklep.



▲ Nie zawsze kot czy pies to najlepszy przyjaciel!



▲ Pływający sklep.



▲ Stacja benzynowa.

z zamożniejszych grup etnicznych. Cumujemy przy pływającym sklepie, którego wejścia strzeże hałaśliwy pies. Nasz sternik z dumą oprowadza nas po domu. Ciepły wiatr jak my z zaciekawieniem zagląda w każdy kąt. Dopiero po chwili spostrzegamy oryginalną zabawkę w ręku dziewczynki. Żywy krokodyl z zawiązanym czerwonym wstążką pyskiem, energiczne macha ogonem. Inne dzieciaki próbują sprzedać mi dorodnego węża i kilka bananów. Po chwili podpływają kolejne łodzie pełne towarów. Przechodzone ciuchy, bambusowe maty, owoce, ryby. Nagle gwałtowny plusk! Zerkamy pod nogi. W wielkich koszach zanurzonych w wodzie, kłębią się dorodne sumy, krokodyle i żółwie. Zaczynamy delikatnie pokonywać niepewne podesty. Wsiadamy do łodzi i ruszamy dalej pomiędzy domami z zaciekawieniem i przerażeniem spoglądając, jak małe dziecko ze swoją starszą siostrą bawi się potężnym wężem. Obok chłopiec w blaszanej, okrągłej bali, niczym kapitan wielkiego statku buja się na falach. Prawdziwy wodny świat, gdzie ludzie z dala od lądu żyją, pracują i mieszkają. Jesteśmy zaurzeczni egzotyką i autentycznością tego miejsca. Warto było pokonać kilka tysięcy kilometrów, by zrobić sobie zdjęcie z dziećmi, które z dumą prezentują swoje żywe za-

bawki i popatrzeć, jak niewiele potrzeba ludziom do szczęścia. Powoli zapada zmrok. Dobijamy do kolejnego domu. Za drobną opłatą wchodzimy na platformę widokową, z której podziwiamy zachód słońca, ogrom jeziora i pływające wioski. Kierując się w stronę lądu opuszczamy jezioro. W ciszy przerywanej miarowym warkotem silnika, spoglądamy za siebie. To jedno z tych miejsc, które ma w sobie coś nierealnego, które odciska się w pamięci każdego podróżnika. I nie zawsze potrzeba wspaniałych budowli, cennych dzieł sztuki i cudów natury by powiedzieć – warto było!

Jesteśmy na lądzie. Mieszkańcy zasiadają przed swoimi prymitywnymi domami zbudowanymi z kilku drewnianych desek, kawałka blachy i folii. To cały ich dobytek. Co zamożniejsi zapalają żarówkę zasilaną z akumulatora, by cieszyć się osiągnięciami techniki. A my kładąc się do łóżka myślami jesteśmy już przy największej atrakcji Kambodży. Miejscu, które po wiekach niebitym wyłoniło się ze szponów żarłocznej dżungli. Jutro ruszamy do Angkor...

Ciąg dalszy w kolejnym „Kurierze Powiatowym”.

WWW Zapraszamy na YouTube – Kambodża  
www.niezwyklyswiat.com